

4. 12. 1913.
J. MAZUR.

Jak Maciej był sołtysem u holszewików.



ARCHIWUM
LEGIONÓW
i N. K. N.

Nr 269

DEUSZ

— 1179.



WARSZAWA

1920 r.

Nasłuchiwał się Maciej przeróżnych nauk od Jędrzeja, fornała, który wróciwszy z Rosji, z wojska, nowe zgoła rzeczy opowiadać mu zaczął.

A to niby, że wszystko na świecie do wszystkich wspólnie należeć powinno; że raj na ziemi i sprawiedliwość ogólną dopiero bolszewicy, którzy w Rosji cara zrzucili i zamordowali, zaprowadzą; że Polska wojnę z bolszewikami tylko dlatego prowadzi, że broni dziedziców i fabrykantów przed gniewem ludu wyzyskiwanego, że jak przyjdą bolszewicy, to on, Maciej, i wszyscy inni pracować tam wiele nie będą potrzebowali, a wszystko im do gęby samo będzie lazło.

Jednem słowem opowiadał mu takie cuda, a książeczki, które mu do czytania dawał, słowa jego potwierdzały, że Maciej, choć chłop nie biedny, gdyż i ziemi miał mórg z dziesięć, i kro-

wy dwie, i koni parę, a i w skrzynce, w komórcie marek trochę, oczekiwać zaczął z niecierpliwością tych czasów, rozmyślając nad tem, jak to przy dzieleniu ziemi pańskiej, on sobie zabierze tę łakę nad stawem i staw z młynem, oraz dwór z dużym ogrodem; jak to w tym dworze będzie leżeć na kanapie, cygaro mocne palić i dobre rzeczy zajadać...

I choć mu ksiądz proboszcz nieraz tłuma-
czył, że to, o czem mu mówił Jędrzej, oszukań-
stwem jest, że sejm w Warszawie, w którym
większość chłopów zasiada, i tak uchwalił już
reformę rolną, to jest podział ziemi państwowej
i dworskiej między tych chłopów, którzy jej nie
mają wcale, albo mają mało, — tylko że trudno
odrązu tak ważną rzecz w czyn wprowadzić. —
nie wierzył mu, ślepo przekonany o prawdzie
słów Jędrzeja.

To też gdy pojawiły się odezwy Naczelnika
Państwa, tego, jak twierdził Jędrzej, największe-
go obrońcy burżujów, że Ojczyzna w niebezpie-
czeństwie, żeby wszyscy chwyтали za broń, by
bronić Macierzy przed nawałą bolszewicką,
uśmiechał się z nich drwiąco Maciej, i nietylko,
że sam nie szedł do wojska, ale i innych od tego
odmawiał.

A wojna szalała w pobliżu wioski Macieja,
i wreszcie wojska bolszewickie przedarły się

przez wojska polskie i zajęły kawał kraju, między innymi zaś i wioskę, w której on mieszkał...

II.

Ucieszył się Maciej, dowiedziawszy się, że bolszewicy są już blisko...

Śpiesznie młócił zboże, nie dając ani ziarnka wojskom polskim, które przez wieś przechodziły, i zawczasu obliczał, ile to za nie tysięcy rubli od bolszewików dostanie... Wybiegał też coraz częściej na dworskie ziemie, by obejrzeć choć zdala i oną łąkę upragnioną, i ów staw, i dwór z ogrodem, które uważał za swoje.

To też gdy przyszli bolszewicy, on jeden z całej wsi wybiegł na ich powitanie z radością, a dowódcę ich z honorami, jak drogiego gościa, do swojej chaty prowadził.

Tymczasem nowi przybysze zgoła dziwnie jakoś poczynali sobie.

W niczem nie byli podobni do tych bojowników idei wolności, o jakich opowiadał mu nieraz Jędrzej, a od dawniej dziczy kozackiej, o której smutne wspomnienia jeszcze z czasów przedwojennych w wiosce pozostały, ule różnili się prawie zupełnie.

Rozgościli się też zaraz po chatach, wyrzucając z nich gospodarzy, i bez najmniejszego pytania zabierali inwentarz, rznąć go, piekąc i go-

Rozwalali się wygodnie w łózkach gospodarzy i na słomie w stodółach, podczas gdy ci, wraz z rodzinami, spać na dworze, na gołej ziemi musieli...

Mimowoli porównał Maciej to ich postępowanie z postępowaniem polskich żołnierzy, którzy przed niedawnym czasem w wiosce stali, i aż mu się westchnienie z piersi wydarło...

Tamci byli grzeczni jacyś, przystępni, nikomu nic nie zabierali, za wszystko placili, pośmieli się, pożartowali, a nawet i w robocie nieraz pomogli...

A ci?...

Mało, że zabierali wszystko, lecz tym, którzy im dobytku dobrowolnie dać nie chcieli, śmiercią grozili, a nawet jednego z najbiedniejszych komorników, za to, że ostatniej krowiny swojej bronił, rozstrzelali na progu chaty.

Zadrżał ze zgrozy Maciej i czempredzej pobiegł do dowódcy oddziału, który się w jego chacie ulokował, i prosił go na wszystko, żeby wybryki żołnierzy powstrzymał...

— No cóż, — odrzekł mu tenże na to: przecież to wojna...

— Ale przecież wy niesiecie sprawiedliwość i wolność ludowi! — tłumaczył mu Maciej.

— Nu, tak jest i sprawiedliwość i wolność, że nasi chłopcy pohulają sobie... Dość się namęczyli, walcząc z tymi burżujami... Zresztą, jutro przy-

Jedzie komisarz, to on z wami, kontrrewolucjonistami, zrobi porządek..

Odszedł Maciej, nie mówiąc już ani słowa, i udał się na klepisko, do stodół, gdzie chwilowy przytułek znalazła rodzina jego.

A wieś cała aż się trzęsła od wrzasków pijanych bolszewików, a zgnębiona przez nich ludność cicho jęczała po kątach, lamentując nad swoim pomordowanym i poniszczonym dobytkiem.

III.

Następnego dnia, przed południem, zajechał przed chatę Macieja wytworny powóz, w parę pięknych, snać zrabowanych w którymś dworze, koni zaprzężony, i wysiadł z niego ów zapowiadany komisarz sowieckiej republiki, witany z uniożonością przez oficerów bolszewickich.

Był to zupełny jeszcze młodzik, w ubraniu nawpół wojskowem, w czerwonej koszuli, z wielką gwiazdą pięcioramienną na czapce i piersi. U pasa miał zawieszony olbrzymi rewolwer, a na brudnych palcach masę błyszczących pierścieni złotych z drogiemi kamieniami.

Przyjrzał mu się Maciej i ku wielkiemu zdumieniu swemu poznał w nim Mülera, syna kolonisty z sąsiedniej wsi, który jeszcze przed wojną zo-

stał skazany przez Moskali na zesłanie do Rosji za koniokradztwo.

Podszedł do niego i chcąc się przekonać lepiej, spytał go się z ukłonem:

— Panie Müller?... to pan?...

Komisarz zmierzył go wyniosłym wzrokiem i rzekł po rosyjsku:

— Ktoś ty?... Czego chcesz?...

Stropiło to trochę Macieja, lecz nie tracąc na minie, rad, że spotkał znajomego, rzekł:

— Pan mnie nie poznaje?... Ja jestem Maciej Bylica... Często u pańskiego ojca kupowałem różne rzeczy... Mnie tu Jędrzej...

Lecz komisarz przerwał mu gwałtownie:

— Jestem Fryderyk Wilhelmowicz Polenow... komisarz sowieckiej republiki... A tyś kto?... Sołtysem tu jesteś?...

— Nie..., — płatał się zmieszany Maciej: ale mnie Jędrzej mówił...

— Aha, towarzyszu Jędrzej... to nasz człowiek... To dobrze... To ja ciebie mianuję sołtysem sowieckim... Będziesz ogłaszać rozkazy nasze i pilnować, ażeby je inni wykonywali...

— Słucham pana komisarza, — odrzekł pokornie Maciej...

Fryderyk Wilhelmowicz uśmiechnął się z zadowoleniem i rzekł ostro:

— Ogłosić zaraz w całej wsi, że wszystko stanowi naszą własność. Do jutra wieczorem ma-

ją być oddane: zboże, bydło, trzoda, konie, wozy, pieniądze, lepsze ubranie, bielizna...

Maciej, z rozwartemi szeroko ustami, słuchał tej litanji, wreszcie, gdy komisarz skończył, spytał:

— A co się ludziom zostanie, gdy im wszystko zabierzecie?...

— Teraz nikt nic nie ma swojego... teraz wszystko stanowi własność sowietów... A że prowadzimy wojnę z polskimi panami o wolność waszą, więc na potrzeby wojska oddacie wszystko.

Poskrobał się w głowę Maciej i znów pomyślał, że jednak polskie wojska wszystkiego nie zabierały na swoje potrzeby, a jeżeli coś zabrały, to za wszystko płaciły i to dobrze...

— Dobrze, ale skąd oni później wezmą to wszystko, co im do gospodarstwa potrzebne będzie? — spytał.

— Nu, w mieście ustanowi się komitet sowiecki, który wszystkim porównu dawać będzie, co im będzie potrzebne...

— A jak będzie z zapłatą za to, co zabierzecie? — odważył się spytać Maciej.

— Z zapłatą! — wykrzyknął komisarz; ty oszalałeś!... My, bolszewicy za nic nie płacimy... my wam za te trochę zboża i bydła, które zabierzemy damy później wszystko, co potrzebować będziecie...

Westchnął Maciej smutnie, żalując w głębi

duży, że nie sprzedał zboża wojsku polskiemu, które chciało mu za nie dobrą cenę zapłacić.

— Ale z czego ludzie żyć będą, gdy im wszystko zabierzecie? — spytał w końcu.

— Z czego?... my im wszystko damy porównu... My tylko nie możemy dopuścić do tego, ażeby jedni mieli za dużo, a drudzy nic... Wszyscy muszą mieć jednakowo... A tam u nas w Rosji ludzie głód cierpią.

— Więc i ci, którzy ciężko pracują, i ci, którzy nic nie robią, jednakowo dostaną?..

— A coś ty, głupi, myślał, że ci takich samych żoładków nie mają?... Zresztą u nas wszyscy pracować muszą...

Odwrócił się komisarz i wszedł do chaty, gdzie czekał na niego komendant bolszewików, a Maciej, z ciężkim sercem, poszedł wykonać rozkaz jego.

IV.

Następnego dnia rano w całej wiosce wszczął się płacz i lament straszliwy.

To po ogłoszeniu Macieja nakazu komisarza, gdy mieszkańcy wioski dobrowolnie wykonać go nie chcieli, bolszewicy przystąpili do odbierania im wszystkiego.

Jedną z pierwszych ofiar ich okrucieństwa padł proboszcz, zacny starzec, który wszystkim

zawsze z radą i pomocą śpieszył, a który owieczek swoich nie chciał opuścić w dniach grozy i nieszczęścia.

Z samego rana, po ogłoszeniu rozkazu, udał się do komisarza, oddając mu całe szczupłe mienie swoje i prosząc, by oszczędził mieszkańców wioski. Zarazem żądał usunięcia koni z kościoła, gdzie bolszewicy stajnię zrobili, oraz z cmentarza, na którym paśnik urządzili.

Lecz komisarz nie pozwolił mu nawet przyjść do słowa... Krzyknął na niego groźnie, a gdy siedziwy kapłan, mimo to, chciał mówić dalej, uderzył go pięścią w twarz i zawołał do towarzyszących mu bolszewików:

— To kontrrewolucjonista!... bierzcie go i rozstrzelajcie zaraz!...

Porwali sprawcy kapłana, powlekli pod stołę, i nie pozwalając nawet odmówić modlitwy—rozstrzelali...

Maciej patrzył na to wszystko ze zgrozą... Z rozpaczą w sercu oddawał na łup bolszewikom wszystko, co pracą lat wielu zebrał, a wiara w prawdę słów Jędrzeja powoli w sercu jego chwiać się zaczęła.

Jeszcze jedna tylko pocieszała go nadzieja, że może wreszcie przystąpią do dzielenia ziemi, że może dostanie tą upragnioną łąkę i staw, z dworu zaś i ogrodu już zrezygnował.

Skorzystał też z chwili, gdy komisarz wypo-

czywał w jego chacie, leżąc wygodnie na pierzynach, podszedł do niego i kłaniając mu się nisko, rzekł:

— Panie komisarzu, chciałem się zapytać, jak to będzie co do ziemi?...

— A bo co?...

— A bo Jędrzej mówił, że jak bolszewicy przyjdą, to odbiorą wszystką ziemię dworom i będą ją między nas dzielić...

Komisarz roześmiał się szyderczo i rzekł:

— Towarzysz Jędrzej prawdę mówił... Wszystka ziemia będzie odebrana, ale nie tylko dworom, ale i wam...

— Jakto?! — zawołał zdumiony Maciej.

— A tak, — odrzekł komisarz: ile ty masz ziemi?...

— Dziesięć morgów...

— Ty jesteś burżuj, bogacz... U nas, w Rosji, są towarzysze bolszewicy, którzy ani morga nie posiadają... Im też ta ziemia się należy...

— Ależ my tu siedzimy z dziada pradziada!...

— No to cóż z tego?... Cała ziemia na świecie do wszystkich należy i wszyscy mają do niej jednakowe prawa. My tych wszystkich towarzyszy z Rosji tu sprowadzimy, i osadzimy na tych ziemiach... Będziecie je wspólnie uprawiali, a plonem z nich będziecie sowiet gminny was wszystkich porówni dzielić...

Zrozumiał Maciej, że musi się wyrzec nie

tylko marzenia o łące i stawie dworskim, ale nawet i własnej ziemi, którą od tylu lat uprawiał.

Z ciekawości już tylko spytał:

— A co będzie z dworem?...

— W dworze osiadzie komisarz sowietów, który pilnować będzie, ażeby wszystkie rozkazy ich wykonywane były, i który będzie rządzić wami...

V.

Wieczór zapadł... Wymęczeni mieszkańcy wioski kładli się na dworze, na garści słomy, na spoczynek. Tylko gdzieś tam rozlegało się ciche zawodzenie osieroconych, płaczących nad zwłokami pomordowanych przez bolszewików.

Naraz w wiosce wszczął się nowy krzyk i lament...

Oto żołnierze bolszewiccy porywać poczęli co młodsze niewiasty i dziewczyny, nie oszczędzając nawet dwunastoletnich...

Ciągnęli je oni do chat na rozpustę, na gwałt.

Stojących w ich obronie mężów, ojców i matki bili nahałami.

A gdy kto z obrońców energiczniej bronił swoich, rozlegał się huk strzału, i nowy trup padał na drogę...

W wiosce zapanowała istna Sodomia i Gomora, gdyż przerażeni mieszkańcy, bojąc się śmierci,

nie stawiali już oporu zezwierzęcałym oprawcom...

Z chat też dolatywały ich pijane krzyki i śpiewy, połączone z płaczem i wołaniami o pomoc dręczonych kobiet i dzieci...

Maciej, zobaczywszy to, pomyślał przede wszystkim o ratowaniu żony swej, która była jeszcze niczego niewiastą, oraz dwóch córek, 16 letniej Basi i 13 letniej Frani...

Wiódł je już opłotkami do lasu, by ukryć je tymczasem, gdy naraz na bocznej ścieżynie otoczyło go kilkunastu bolszewików i, zatrzymując, zawołało:

— Hej, ty... a gdzie to prowadzisz te baby?...

Stał Maciej, nie wiedząc, co im odpowiedzieć, a prowadzący oddział starszy żołnierz, rzekł do podkomendnych:

— Bierście je i prowadźcie do chaty... dla zabawy komisarza i oficerów...

Zaczęła się szarpanina na drodze... Maciej bronił, o ile mu tylko sił starczyło, żony i córek, lecz uderzony parokrotnie nahajami, uleść musiał...

Padł nieprzytomny na drogę, i słyszał tylko, jak przez sen, krzyki i płacz wleczonych przez oprawców najbliższych swoich...

Chłód nocy otrzeźwił Macieja... Podniósł się z ziemi i zatoczył, jak pijany... Całe ciało go bolało po nahajkach bolszewickich...

Zgarbiony, przygięty wprost do ziemi, powoli iść zaczął w stronę wsi...

Szedł powoli, ostrożnie, skradając się... Od czasu do czasu potykał się o trupy pomordowanych sąsiadów...

Tak doszedł do chaty swojej...

I z niej, podobnie jak z innych, dobiegały pijane wrzaski hulającego „naczalstwa“, i z niej również dobiegał jęk i płacz kobiet...

Podsunał się do oświetlonego okna i zajrzał przez nie... Dojrzał tam widać coś okropnego, gdyż cofnął się wnet przerażony... Oczy jego płonęły, jak dwie pochodnie, ręce się trzęsły, jakby szukając czegoś, a usta szeptały jakieś słowa bez związku.

Ostrożnie, zrzuciwszy buty, by go kto nie posłyszał, podsunał się do stodoły i znosić z niej począł pęki słomy i siana, obkładając nimi chatę wokół.

Następnie wyszukał balików parę i podparł nimi drzwi wejściowe, tak, że nikt z wewnątrz otworzyć ich nie mógł...

To samo zrobił z oknami, zamykając ostrożnie okiennice i podpierając je również balikami.

A gdy skończył tę czynność, wydobyl z kieszeni zapalki i w różnych miejscach, przebiegając szybko, podpalać zaczął zgromadzoną słomę i siano, oblane nadomiar obficie smołą...

W jednej chwili chatę otoczył ognisty pierścień, od którego w krótkim czasie zajęła się strzecha, wysuszona przez długie upały.

Łuna pożaru otrzeźwiła hulających w innych chatach bolszewików... Biedz poczęli na ratunek, lecz gdy dopadli do płonącej chaty, runęła przepalona strzecha, grzebiąc pod belkami swemi i oprawców, i ich zameczone ofiary...

Maciej, ze skrzyżowanemi na pierś i rękoma, stał w oddali, z dzika rozkoszą jakąś patrząc na dopalające się zgliszcz...

A gdy spłonęły zupełnie, gdy na niebie świt zajaśniał, zawrócił i znikł w sąsiednim lesie.

VII.

Do obozującego w lesie oddziału żołnierzy polskich zgłosił się średnich lat mężczyzna, z siwą zupełnie głową, i prosił komendanta o przyjęcie, jako ochotnika.

Przyjęty, siedł zawsze na najniebezpieczniejsze posterunki, nigdy nie cofając się w walce, pogardzając wprost śmiercią.

Zauważono też, że nigdy życiem nie darował żadnego bolszewika, że tępił ich zawzięcie, z okrucieństwem.

Milczał też zawsze, tak że koledzy przewaligo „Milczkiem — pogromcą bolszewików”...

Nikt nie wiedział kto on jest i skąd pochodzi..

Był to Maciej, który w ten sposób mścił hańbę i śmierć okrutną żony i córek, ruinę swoją i wsi rodzinnej, a przedewszystkiem bronił Ojczyzny przed najściem bolszewickich zbrodniarzy.

Cena 2 marki.
